

OSTATNI SZANTYMEN

Nie wiedziałem, że umiera. Nie wiedziała o tym nawet Jego rodzina. Wyrok wydali lekarze na Hawajach, dając Mu jeszcze rok życia.

Marek Siurawski

Kilka miesięcy wcześniej, tuż przed wyjazdem z Liverpoolu po Festiwalu Szantowym w Merseyside Museum, poprosiłem Stana o wywiad.

Stan Hugiil był już wtedy znany w Polsce, przyjeżdżał do nas kilkakrotnie. Nazywaliśmy Go „Stasiu”.

Będąc jak inni pod Jego urokiem, zastanawiałem się często, jak to się dzieje, że pojawia się taka postać, chciałem wiedzieć, co przeżył w dzieciństwie, jakich ludzi spotykał, co czytał, w co wierzył i czego się bał, kogo kochał i co utracił - te i podobne pytania pospiesznie skreślone wręczyłem Stanowi właśnie wtedy, w Liverpoolu, nie wiedząc, że widzę Go po raz ostatni.

Pół roku później otrzymałem 60-stronicowy list, z odpowiedziami wykraczającymi znacznie poza pytania. Jego wymowa dotarła do mnie dopiero wtedy, kiedy uderzyła mnie wieść, że już nie żyje.

Stan Hugiil zmarł w maju 1992 roku. Jego prochy rodzina rozsypała po morzu u brzegów rodzinnego Gwynedd.

Na pogrzebie zażyczył sobie tańców i śpiewu.

Oddaję te myśli Ostatniego Szantymena do rąk czytelników.

Z przedmowy książki Marka Siurawskiego „Stan Hugiil. Ostatni Szantymen”, która ukaże się staraniem Fundacji „Kultura Morska” i Magazynu „Rejs” latem tego roku. Poniżej drukujemy fragment z tej właśnie książki.

Pytasz, na jakich statkach pływałem...

Moim pierwszym statkiem był parowiec z Liverpoolu. Wszedłem nań pewnej mroźnej, zimowej nocy, gdy stał jeszcze w suchym doku. Następnego dnia schodziliśmy na wodę. Ludzie, którzy wybijali podłogi, pływali przedtem na żaglowcach i w czasie tej roboty wydawali jakieś niesamowite krzyki i zaśpięwy. Pamiętam, że najlepiej wychodziło to jakiemuś krajowcowi z Fidżi.

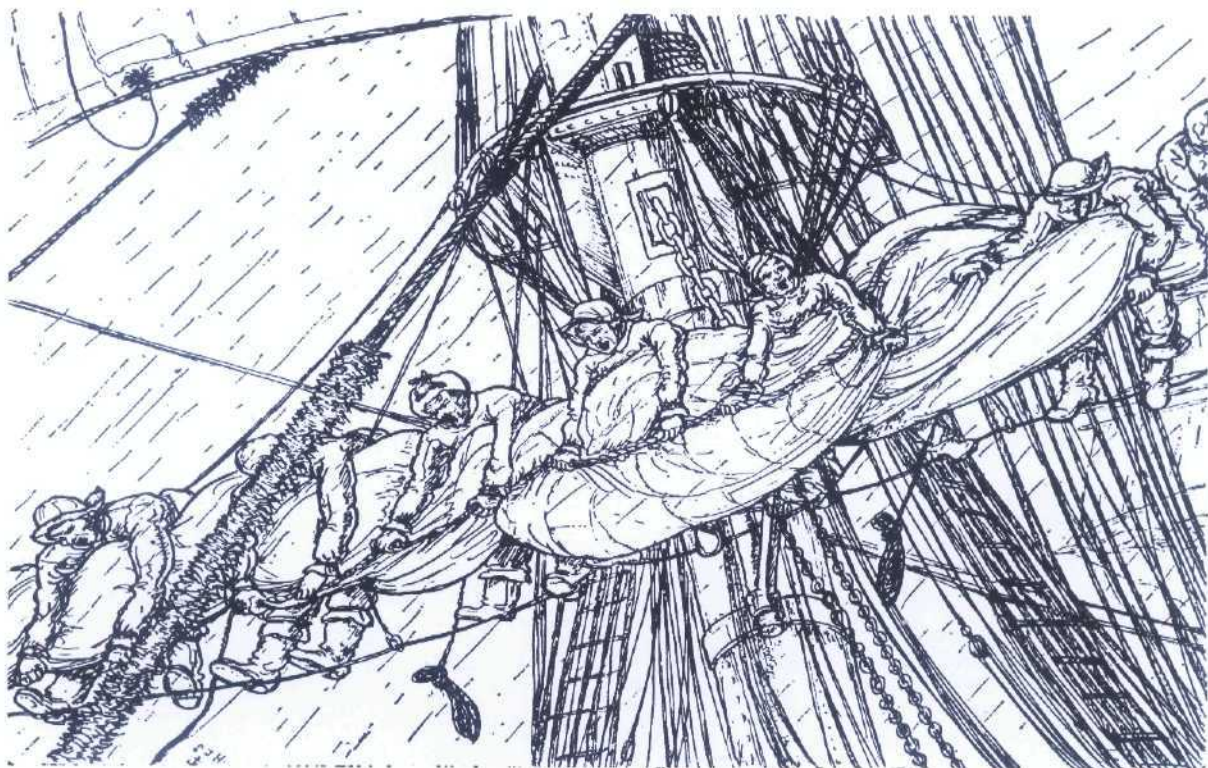
Z Liverpoolu popłynęliśmy do Filadelfii. Rzeka Delaware stała skuta lo-

dem, więc ruszyliśmy w górę, wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, do Nowego Jorku, a potem do Savannah. W Newport Nowes zobaczyłem po raz pierwszy, co to znaczy apartheid, a w St. John's boleśnie odmroziłem ręce. Poczuję się lepiej dopiero w Colon i Kanale Panamskim, a potem na Pacyfiku. Żeglowaliśmy nieprzerwanie aż do Auckland, na Nowej Zelandii. W drodze do Wellington, przy próbie okrążenia East Cope wpadliśmy na skały Horoera Point, i wtedy zaczęła się moja polinezyjska przygoda. Część załogi wróciła do domu na ROTORUA.

parowcu z ożaglowaniem rejoyem, który parę lat wcześniej przegrał regaty z kliprem TURAKINA, a ja, z kumplem o imieniu Jock innym parowcem tej samej linii popłynąłem jako załoga na Nową Zelandię. W Wellington zerwaliśmy się ze statku i ruszyliśmy w głąb łądu, szukając zajęcia. Pracę dali nam niedaleko Gisborne, na farmie, pobudowanej obok pan, czyli maoryskich fortyfikacji. Nauczyłem się tarn jeść puha (maoryska kapusta), pipi (mięso burzyka) i kumara (słodkie ziemniaki), tańczyć haka i mówić po maorysku. Roboty mieliśmy po łokcie. Jeździłem konno, dołem krowy i strzygłem owce.

Któregoś dnia do Gisborne zawiąnął szkuner i moja miłość do morza wróciła. Statek nazywał się SAUCYKATE. W kubryku było osiem koi, ale ponieważ trwał kryzys i statki woziły, co się da, tylko cztery z nich były wolne. Na pozostałych leżały jakieś ochłapy z rzeźni, w charakterze nawozu. Były co prawda w workach, ale cuchnęły niemiłosiernie.

Dzięki tradycjom rodzinnym byłem dość dobrze obeznany z terminologią żeglarską, sterowałem jednak zawsze według kompasu: West, South, North by East itd. Więc kiedy przyszła moja wachta na ster i usłyszałem: trzymaj ostro do wiatru! - zbaraniałem. Powtórzyłem komendę i stałem jak odrętwiały. Tymczasem



Stan Hugill to również uznany marynista, którego obrazy i rysunki zdobiją kolekcje prywatne i sale wielu muzeów morskich na świecie

statek ostrzył i w pewnej chwili wszystkie żagle zatopotwały, jak szalone. Oficer wachtowy, Szkot, który przyczepiał się zawsze do byle czego, był wtedy na górze i trzepoczące w linii wiatru płótna omal nie zmiotły go z rei. Chyba się zdenerwował, bo szybko zszedł na pokład, podbiegł do steru i tak mi przyładował w szczękę, że wleciałem głową w watersztagi. Muszę przyznać, że od razu zrozumiałem, co znaczy „trzymać ostro do wiatru”, chociaż nauka była bolesna. Związki zawodowe wtedy nie istniały, więc nawet gdybym chciał, nie miałbym się komu poskarżyć,

Taki był mój pierwszy kontakt z żaglami.

Co do innych, statków było ich tak wiele, że nie sposób o wszystkich napisać, chociaż może o paru warto.

Zaokrętowałem kiedyś na szkuner o maoryskiej nazwie *MARORO*, co znaczy Latająca Ryba. Statek pływał między Australią i Nową Zelandią, i karierę zakończył jak na prawdziwą rybę latającą przystało: zatonął przy przylądku Kaipara i wypłynął koło Sydney...

Na *ZICIE* pamiętam refowanie w wyjąłym sztormie, który nas złapał przy zachodnich brzegach Wy-

spy Południowej (Nowa Zelandia). Huragan był straszny; na taki wiatr mówiliśmy „cyrulik” - bo golił bez brzytwy... Pamiętam przewożoną koprę i robaki, które wlażyły wszędzie i na wszystkich, a potem Wigilię u misjonarza w jego samotnym domu, w którym mieszkał tylko ? żoną i córkami.

Braliśmy stamtąd sól. Aborygeni Arunta, gdy dowiedzieli się o naszej obecności, zaciągnęli nas w drugi dzień Świąt na jakieś straszliwe obżarstwo.

/.../ Mówiąc o moich statkach, nie mogę pominąć ważnego epizodu wojennego w moim życiorysie. Pływałem wtedy jako starszy marynarz na parowcu *ANDROMEDON*, należącym do Blue Funnel Line. Gdzieś koło przylądka Achin, od nawietrznej pojawił się nagle statek. Pokazał banderę holenderską i podniósł jakieś sygnały. Odpowiadaliśmy chyba za wolno, bo w pewnej chwili przed naszym dziobem przeleciał pocisk, a banderę holenderską zastąpiła niemiecka. Intruzem okazał się niemiecki raider *ATLANTIS*. Stałem wtedy przy sterze i kapitan, w którym zagrała krew marynarzy Nelsona, krzyknął:

- Ster prawo na burt!

Zakręciłem sterem jak szalony i chwilę później staliśmy zwróceniu rufą w stronę przeciwnika, mierząc naszą śmieszoną armatką kalibru 4,7 cala na łozysku Maizuru, pamiętającą wojnę japońsko-chińską, w 6-calowe działa raidera. Niemiec prawie natychmiast trafił nas trzema salwami w śródookręcie. Kapitan, dwóch oficerów, człowiek na oku i stolarz zginęli na moich oczach, a ja zszedłem z mostku ogłuszony i na pół przytomny, ale ze śpiewem.

Kiedy Niemcy weszli na pokład, znaleźli plany portu Singapur, księgę kodów naszej marynarki handlowej i wojennej oraz list Churchilla do Naczelnego Dowódcy Amerykańskich Sił Zbrojnych na Dalekim Wschodzie stwierdzający, że z powodu upadku Francji Anglia nie pomoże Amerykanom na Pacyfiku. Niemcy ani Yarnamoto nie uwierzyli w autentyczność tak ważnych dokumentów przechwyconych na zwykłym, starym kabotażowcu, niemniej jednak parę miesięcy później Japończycy uderzyli na Pearl Harbour, zajęli Hong-Kong i Singapur, a więc kto wie, może te właśnie papiery przyspieszyły wejście Japonii do II. wojny światowej...